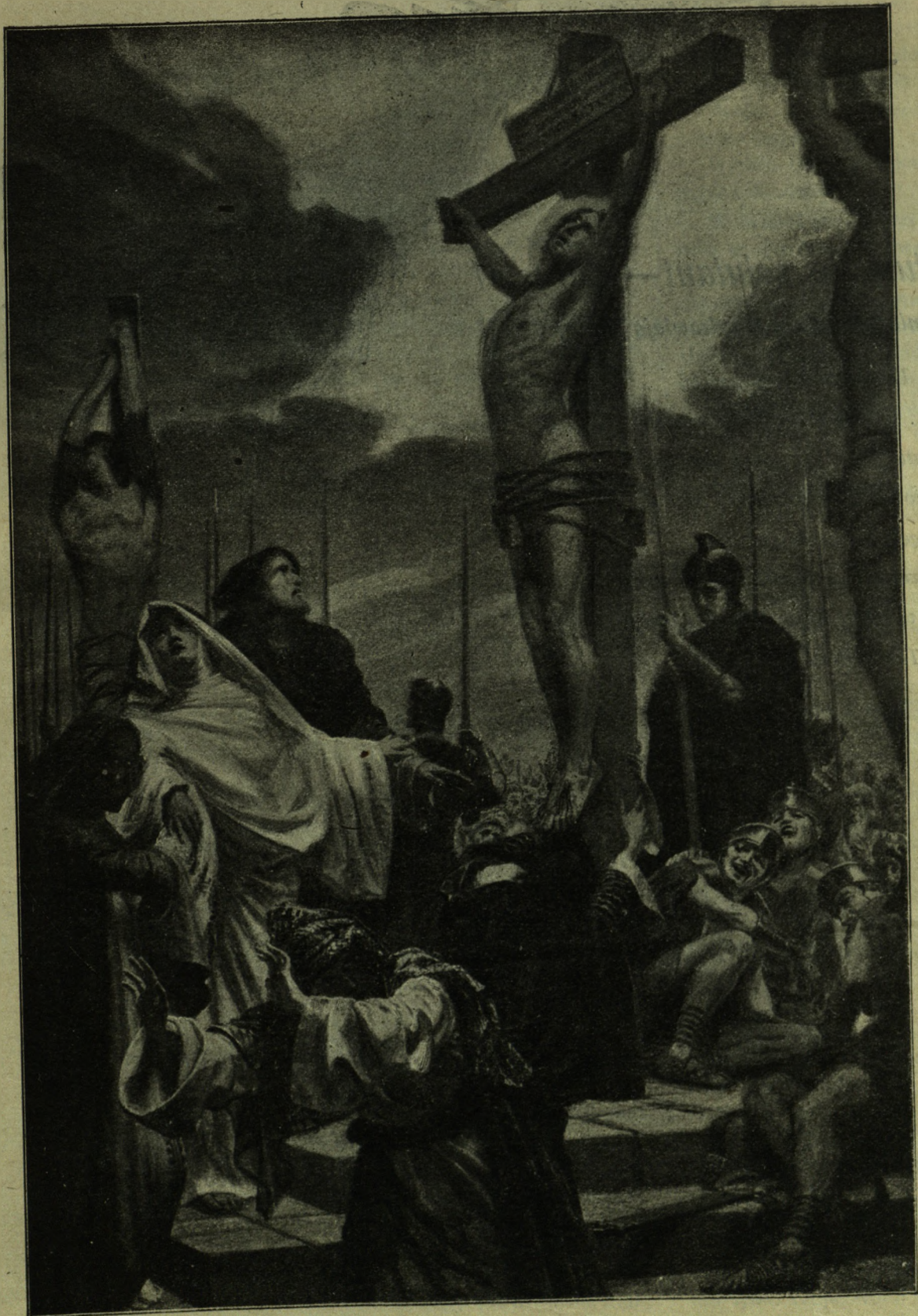


WIADOMOŚCI ILUSTROWANE.

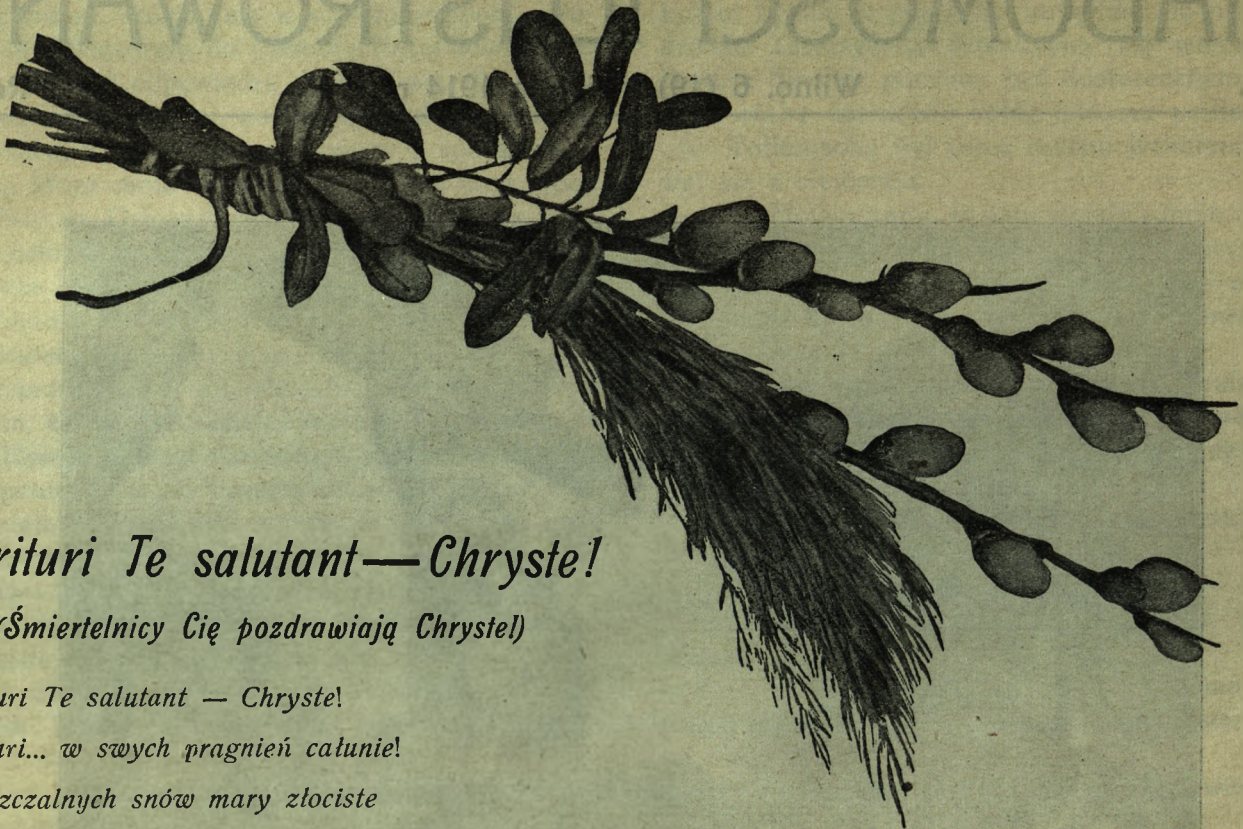
№ 14.

Wilno, 6 (19) kwietnia 1914 r.

Rok II.



Jezus na krzyżu umiera.



Morituri Te salutant — Chryste!

(Śmiertelnicy Cię pozdrawiają Chryste!)

Morituri Te salutant — Chryste!

Morituri... w swych pragnień całunie!

Niezszczalnych snów mary złociste

Przytłumiona pieśń o wielkiej strunie

Zblakłe tęcze, zagaste świtania,

W mrok zmienione brzaski promieniste. —

Morituri! w Twój dzień Zmartwychwstania

Morituri Te salutant... Chryste!

Morituri Te salutant — Chryste!

Dajesz wszystko i wszystko odjęte!

To, co w duszy ukochaniem czyste —

To, co w sercu od zapalu święte —

To, co wola głosiła pacierzem —

To, co zachwyt promienił w żałobie —

Dziś w zwątpieniu staje pod Tym krzyżem...

Morituri! biją pokłon Tobie!

Morituri Te salutant — Chryste!

Morituri — chyląc smutnie głowy!

Na korony gotowi cierniste,

I bez trwogi na pochód krzyżowy!

Z tej ziemi — co słońcem czy cieniem,

Nad błękity milejsza gwiazdziste —

Równi Tobie bólem i cierpieniem...

Morituri Te salutant... Chryste!

Święcone.

Opowiadał mój dziadziunio
Dziadziuniowi jego dziad —
Jakie było to święcone
Za dziadziunia dziadzi lat.

W starem gnieździe pradziadowem, już od „Kwietniej“ huczał dwór! dwóch kuchmistrzów z pasztetnikiem, respektowych panien sznur...

Prababunia, choć łowczanka, w ręce własne brała rząd, od wieczora do poranka, zaglądając w każdy kąt. Tu pobiegła, tam dojrzała — tu za łyżkę — tam za nóż... Chociaż piękne wiano miała: cztery włości, tysiąc dusz! Wszystko wrzało pod jej okiem, wszędy ruch był, wszędy ład... Gdy stąpała żwawym krokiem — sam pasztetnik nawet bladł!

Sam jegomość o tej porze przed jejmością zmiatał proch, zdając rząd w całym dworze od apteczki, aż po loch! Sto czerwieńców dobył z trzosa na korzenie... a sam w las.

Nie pokazał dotąd nosa, aż święcenia nadszedł czas. Przed północą Zmartwychwstania bito w dzwony, młotem grzmiał, ksiądz kapelan święcił stoły i egzortę krótką miał.

Kłękł wtedy przed barankiem orszak krewnych, dworzan, sług — huczał organ nad kruzgankiem: „Resurexit Pan i Bóg!”

Pradziad w drzewce Chrystusowe drzące w modłach usta wpił, podgoloną chylił głowę, szlochał głośno, w pierś się bił...

A w kaplicy grały dzwony, kryty organ chórem brzmiał: *Resurexit, sicut dixit!* Pan Zastępów z grobu wstał! Prześpiewano raz z drugi u przybitych gwoździem rąk...

Wstawał pradziad, dworscy, sługi i święcone jajko w krąg... Od waszeczka do waszeczka, aśćka waści, aśćce waść... i dopiero *rum* za stoły!

Byłoż to czem oczy paść. W środku stołu, niby żywy, jakby się na rżysku paś, stał baranek z cho-

ragiewką, owiniętą w słucki pas. Ulepione z faski masła z białą wełną, jak na strzyż, arcydzieło fraucymeru bukszpanowy niosło krzyż. Obok kołacz w kształt „Korabia“, klejnot rodu świecił z maszt — dalej kołem rzesza „babia“, niby szereg wież lub baszt. Combry sarnie, połcie z dzika, szynek, kielbas cały zwał — i majsterszyk pasztetnika, z marcepanu jeleń stał. Był „toruński“, przekładany, migdałowy, „dziadem“ zwan, rznięte w kryształ roztruchany — z gdańską wódką srebrny dzban!

Po gorzałce, po mięsiwie pradziad rznięty puhar brał; stary pajuk w sienie barwie, jeszcze starszy węgrzyn lał! I dopieroż szły wiwaty! tryskał węgrzyn... tryskał miód! Za pomyślność ojców chaty, za łaskawych gości ród! „Państwa Wojskich!“ „Podstolego!“ „Gospodarstwa!“ „Setnych lat!“ Na ostatku „Kochajmy się!“ gromkim głosem wznosił dziad.

Po tych słowach, na komendę nową salwę młotem bił — puhar krążył przez kurandę, każdy kłęcząc duszkiem pił. Biły serca, ły się lały, brał w objęcia brata brat... Takie „święta“ to bywały za dziadziunia dziadzi lat!

Do „Zielonych“ za próg dworu zjeżdżał kto mógł i kto chciał, co zostało — do klasztoru dla ubogich kwestarz brał!

* * *

Opowiadał mi dziadziunio
A gawędził ze mną rząd —
Jakie było to „święcone“
Za dziadziunia jeszcze lat...

Z poniedziałku w wielki tydzień już babunia brała rząd — a dziadziunio lulkę pykał i uciekał z kąta w kąt! Cały dworzec praocjowy zajmowano wzdłuż i wszerz — nawet major choć wojskowy, z rezydencjki zmykał leż.

W pokoiku rezydenta główny właśnie bywał skład, gdyż wojskowe „ornamenta“ strzegły lepiej zamków, krat! Tu jak w wnętrzu arsenałów, stały faski masła, mąk, stos rodzynek, stos migdałów... Zapach niczem z kwietnych łąk.

Major ruszał z rezydencji, byle babci zemknąć z ocz — a babunia z providencji, do kieszonki brała klucz... I dopieroż przy fartuszkach z starym kuchtą w główny skład... Wydziałała co potrzeba, nie słuchając żadnych rad. Czy to z faski, czy z słoika — aż się marszczył stary Grześ — wymierzała „dobrodzika“, choć w posagu wniosła wieś!

Potem omal tydzień cały babunia z łóżka ledwie kur...

Dwórki tłukły i siekały, aż rozlegał cały dwór!

W Wielki piątek już od rana, niby w ulu brzęczał gwar, wszystkie „baby“ się ruszały, kuchcik masłem sycił żar, kucharz słomką robił próbę, by nie chciało ciasto zbiedz... i kolejno pod rachubę, baby, placki, torty w piec!

Babunia niby wódz na boju brała się pod boki w pół... I po chwilach niepokoju zastawiano wreszcie stół. Lokaj, panny z garderoby, przy pomocy Kaś i Wikta... Poczem wszystko szło na „Groby“ nie skosztował zgoła nikt!

Zamykała drzwi babunia, klucz w chusteczki wiążąc róg — aż dopiero ksiądz kanonik w kolatorski wstąpił próg!

Było wtedy patrzeć na co! Książka z dumy stary Grześ domownicy się zbiegali, szła gromadą cała wieś. Brzmiał podziwem dworzec stary!... w „portretowej“ kłękł lud... ksiądz kanonik święcił dary, błogosławił... życzył cnót! Dziadziunio, kłęcząc, intonował: „Aleluja!“ za nim dwór... nawet major, choć liberyn, grubym basem ciągnął wtór.

Poczem z flaszką dziad ku kmieciom — za stół sadzał... w uścisk brał a babunia wiejskim dzieciom rozdawała, co Bóg dał... Służba brała rząd kołaczy, lędźwie szynek, kielbas krąg, a i rzeszy się żebraczej dostał „śmigus“ z babci rąk.

Gdy brać młodszą obdzielono, dziadziunio babcię cmoka w dłoń, mówiąc żartem: „Pani żono! dotąd tylko czuję woń!“ Ksiądz kanonik dawał ramię, z kolatorką mając prym — potem dziadziunio

starszej damie, wreszcie młodzież
szła jak w dym...

Zaczęły się traktamenta, prośby,
żeby więcej brać... dziadzius mruga
na majora i węgrzyna kazał dać!

Major sunął do gąsiorka. Od-
korkował *Sacre nom!*

„Kochajmy się!“ w ścianach
dworku hukło z piersi niczem grom!
szły kielichy gęsto kołem, węgrzyn,
maślacz, tokaj, miód... proboszcz
mowę miał za stołem: błogosławił...
życzył cnót! Trzy dni z rzędu były
gody, okoliczny zjeżdżał świat...
Takie dzia dzio, gdy był młody,
sprawiał „święta“ za swych lat.

* * *

W pokoiku wynajętym

Ze ścian patrzy praszczur, dziad—

Jakby wnuczę pytać chcieli

O święcone jego lat.

W pokoiku wynajętym białem
płótnem kryty stół — przy „baran-
ku“ z ornamentem dary Boże
w pękach ziół: stoi „baba“ pod
barwinkiem, krążek wędlin, grudka
jaj...

Dziatwa kręci się ordynkiem,
śmiej na liczku, w ślepkach raj!
Paluszkami to rodzynek, to mig-
dałków... i myk w ką.

Wziął kropidło starszy synek...
„Aleluja“ nucą w rząd!

Brzmia dziecięce wiarą głosy,
nad świąteczny płyną stół...

Modre oczki, lniane włosy, jak
tej dziatwy z dziada siół!

Starszy malec kropi zwołna, nad
siostrzyczką czyniąc krzyż...

U młodszego myśl swawolna;
schwycił kielich, podniósł wzwyż!

Schwycił, podbiegł do braciszka,
na siostrzaną przypadł skroń...

I z pustego pił kielicha: „Ko-
chajmy się!“ szepcząc doń!

Dziadziu! dziaduu!

skąpo w misie,

Ciężko płużyć

pracy łan...

Lecz prastare

„Kochajmy się“

Brzmi z wnuczęcia

ciasnych ścian!

El.

Nadchodzi święto Cudu, dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Czytelnikom naszym ży-
czymy, aby w dniu tym uroczystym ożyły wszystkie najlepsze zamiary, myśli i nadzieje...

WESOŁEGO ALLELUJA!

O! Zmartwychwstanie...

O! zmartwychwstanie wszystkiemu, co mękę

Śmierci przeżyło i grobu ciemnice!

Oto już słyhać słowiczą piosenkę,

Oto się letnie palą błyskawice,

Oto z błękitów zlatują nam blaski

Dnia majowego, przebudzeń i łaski,

I słyhać w ciszy jęczące otchłanie —

I grzmot wiosenny słyhać...

Zmartwychwstanie!

O! zmartwychwstanie tym ziarnom, co w roli

Przeżyły zimę wiekowej niewolil!

O! zmartwychwstanie posiewom tym ducha,

Które więziła noc ślepa i głucha...

Wam, czarne lasy, i wam, mokre łąki,

I ziola polne, i szare skowronki,

I wam, zagony leżące odłogiem,

I tobie, gruszo, stojąca przed progiem,

I wam, dąbrowy, i gaje i kwiaty,

I tobie, strzecho czerniała tej chaty...

Pęka już wierzba, słyhać fletni granie

I szum lecących skrzydeł...

Zmartwychwstanie!

O! zmartwychwstanie wszystkiemu, co mdleje,

Co traci ducha, i moc, i nadzieje...

O! zmartwychwstanie Łazarzom i Hiobom,

Pękniętym sercom, zapomnianym grobom,

Światłom gasnącym w ucisku stuleci,

Gwiazdzie co spadła — i w błocie gdzieś świeci...

Temu, co dobre, i wielkie, i piękne,

I, co ku wzlotom najwyższym napięte,

Przecież zdeptane jest — i jest wyklęte...

...Pójdę! w zieleni pól naszych uklękne,

I z lasów szumem w pieśniach się uniosę,

I ziemi mojej dam łez moich rosę...

Marya Konopnicka.

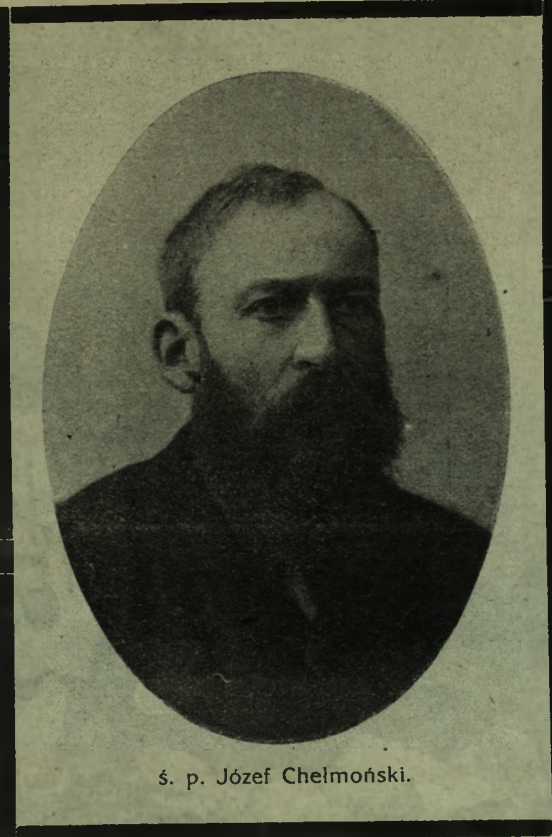


Józef Chełmoński

(1849—1914).

Spoleczeństwo nasze poniosło znowu bolesną stratę: d. 6 kwietnia now. stylu w Kuklówce pod Grodziskiem gub. Warszawskiej zmarł Józef Chełmoński, jeden z największych malarzy polskich.

Pomimo różnicy kierunku, odmiennego zakresu prac, słusznie wyznaczają Chełmońskiemu stanowisko obok Matejki, bo obaj są najgodniejszymi przedstawicielami sztuki polskiej. Matejko nadewszystko ukochał Polskę w dniach jej chwały, potęgi i wielkości, najlepiej rozumiał i odczuwał bohaterów z husarskimi skrzydłami u ramion, o duszach nie znających trwogi. Odtwarzaniu najbardziej przemawiających do duszy artysty chwil z dziejów Polski poświęcił Matejko swoje życie i talent. Z jego obrazów możemy uczyć się historii, utrwać w pamięci rysy królów, wodzów, napawać się przepychem i blaskiem dalekich, dawnych dni.



ś. p. Józef Chełmoński.

Chełmoński malarzem historycznym nie był nigdy. Jego zakres — typy ludowe, sceny rodzajowe, krajobrazy. Talent jego podziwiano w Europie; Niemcy nie mo-

gli nadziwić się życiu i fantazji tryskającym z obrazów Chełmońskiego, gdy wystawił tam swoją „Czwórkę”; Francuzi znowu przyznali polskiemu artyście złoty medal za „Powrót z kościoła”, tak ich zachwyciła prawda artystyczna, prostota i wytworność. Nigdy jednak dla obcych Chełmoński nie mógł być tak zrozumiałym i drogim jak dla nas. Cudzoziemcy mogą podziwiać talent, wykonanie obrazów — ale nie dojrzą i nie odczują tej poezji, jaką tchnie każdy obraz wielkiego Polaka.

Chełmoński kształcąc się za granicą, pracując tam, stykając się z najrozmaitszymi kierunkami i prądami nie zatracił swej duszy, nie stał się naśladowcą rzeczy obcych. Coraz wyraźniej i dokładniej widział swą drogę artysta — a było nią odtwarzanie Polski, jej ziemi i ludzi; w to Chełmoński włożył swój talent, świetną obserwację, najgłębsze ukochanie. I tworzył rzeczy mistrzowskie, arcydzieła, pełne życia, prawdy, nieśmiertelnego piękna. Chełmoński jest zrozumia-



Józef Chełmoński

„Koncert żab”.



Józef Chelmoński.

„Bociany lecą.”

ty dla każdego—zarówno dla dziecka lub człowieka po raz pierwszy oglądającego obrazy i podziwiającego konie, znane sobie kwiaty i ptaki, jak i dla wytrawnego artysty, który potrafi odczuć duszę mistrza.

Przez długie, długie lata i dziesiątki lat będą oglądane i podziwiane dzieła Chelmońskiego. Dla stęsknionych za ojczyzną tułaczy będą one kojącą wizją tego, za czym ból targa duszę, dla zmęczonych, przytłoczonych gwarem miast i pracą żmudną stanie się oglądanie ich wypoczynkiem, czemś tak radosnym jak przyjście wiosny, dla szukających zaś dróg dalekich i kierunków pozostaną wskazówką, co może stworzyć wielki, twórczy talent w zespoleniu się z przyrodą i ziemią ojczystą.

Z nowych książek.

„*Nowe prądy, nowe dążenia w wychowaniu w. XIX i XX*“. Przez K. Ostachiewiczową — Wilno r. 1914.

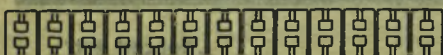
„Z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia J. Mianowskiego“.

Przed wami leży niewielka książka o poważnej i ciekawej treści,— odrodzenia ludzkości przez szkołę nowego typu, któraby już dzieci od 4-go roku życia układała do radzenia sobie i samopomocy w każdym wypadku, oraz praktycznego przygotowania do tej największej nauki, jaką jest życie.

Treść tego pożytecznego i prawie jedyne dotąd w kraju naszym wydawnictwa obejmuje: — Zwrot do przeszłości i rzut oka na powstawanie szkół o postępowym kierunku w w. XIX.

W dziale tym sz. autorka potrąca o Epokę Odrodzenia, o Reformację i o system nauczania u Jezuitów, którzy jako główny bodziec postępu uważają — *współzawodnictwo*. Dalej następuje Rabelais, który na pierwszym planie stawia *rozwój spostrzegawczości*, — Montaigne, który *każe kształcić całego człowieka*; Komeński *zaleca naukę o rzeczach*; Locke *podkreśla ważność moralnych zadań wychowawcy, stawiając je przed ważnością udzielania wiedzy*; następnie Rousseau, z jego *teorią powrotu do natury*; — wreszcie Pestalozzi, który domaga się *nauki dla wszystkich*, jednocześnie zalecając uczyć *mało lecz gruntownie*.

Następnie autorka przechodzi do pracy na tem polu, w krajach nie tylko Europy, lecz Ameryki, a nawet Azji; rozbiera system Tolstoja, zaznacza różnicę między szkołami dawnego, a nowego sy-





Józef Chełmoński

„Z chartami“.

stemu:—Deweja w Ameryce, Deicol'ego i innych w Europie.

Dalej zatrzymuje się autorka nad systemem nauczania Marji Montesori, przyjętego w wielu państwach, dodaje słów parę o pedagogji i skautyzmie. W końcu swej pracy obszerniej omawia o szkolnictwie polskiem, o próbach stwarzania szkół nowego typu w Galicji i Królestwie, o pensjonatach żeńskich na wsi, które to już zaprowadzono w Ameryce i na Zachodzie Europy, — jak w Belgji Szwajcarji, Niemczech, Anglji, Danji i w in.

Litwa tylko tych szkół nie posiada.

Takie szkoły początkowe, a więc przede wszystkim wychowawcze, przeważnie jak wiemy zakładają się na wsi, w środowisku spokoju i ciszy, gdyż dzieci to utrzymuje w pewnej równowadze, tak im potrzebnej przy zajęciu.

Tu uczą się one poznawać i kochać przyrodę, a co najważniejsza, że system powyższy przygotowuje dźwiatwę do życia czynnego od lat najwcześniejszych, — wyrabiając w niej nie tyle umysłowość, ile charakter, dzielność, sprawność, żądzę życia i pogodę ducha i wszelkie warunki jej potrzebne, a których nam najbardziej braknie. Słusznie więc Sz. autorka zwie to odrodzeniem ludzkości przez szkołę zreformowaną, któraby wychowała rozumnych i praktycznych obywateli kraju.

Dziś, przy tak wielu utrudnieniach w szkołach dla dzieci naszych, nękanym formalizmem programów, dających tylko surogat nauki martwej i urzędowej; przy takim obciążeniu, zwłaszcza w klasach niższych, wzbudzającym przedwczesną nerwowość dziecięcą, —system dzisiejszej szkoły wytwarza tylko tak zwaną półinteligencję,

ludzi do wszystkiego, lecz w rzeczywistości do niczego w życiu nie przysposobionych. Tacy zwykle nie wiedzą co robić z sobą, bo zakosztowawszy nauki szkolnej w paru klasach tylko, pracy ręcznej już nie chcą, a innej nie umieją, lub nie mogą.

Nie będąc pedagogiem, nie wdaję się w rozbiór tej książki, tylko po przeczytaniu jej wyczuwam, że Sz. autorka dotknęła w niej najbardziej żywotnej kwestji wychowania młodego pokolenia, pozbawionego realnych i życiowych kierunków.

Książkę więc p. K. Ostachewiczowej witamy z najgłębszym uznaniem, gdyż przyszłe stosunki szkolne opiera na prawach przyrodzonych człowieka, nie zaś sztucznych i narzucanych z góry. Zostawia ona szerokie pole do działania i prób wszelkich przez rozwijanie indywidualnych zdolności dziecięcych i

zdobycie własnego i samodzielnego jutra przez pracę.

Nie dość tego, że swej strony dotalibyśmy tu kwestję wychowania Estetycznego tak zaniedbanego u nas, a którym jeszcze w XVI w. posługiwali się różniewcy polscy...

S. O.

Z NASZEGO HANDLU.

Nowa placówka. Dotychczas w Wilnie cały handel przyborami fotograficznymi spoczywał wyłącznie w rękach żydów. Obecnie wylom w tych stosunkach zrobił p. Jan Lachowicz, który przy swem Laboratorjum fotograficznym (Wielka 10) wprowadził sprzedaż klisz, blon, papierów i chemikalji. Można mieć nadzieję,

że p. Lachowicz wkrótce rozszerzy swój zakład i da możność fotografom zawodowym, oraz amatorom zaspakajać wszystkie potrzeby bez pośrednictwa żydowskiego. Osoba właściciela Laboratorjum daje gwarancję, że handel będzie prowadzony ze znajomością rzeczy i sumiennie.

Szczęść Boże nowej placówce handlu naszego.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał drugi. Wszystkie nieopłacone egzemplarze od dnia 1 (14) kwietnia zostały wstrzymane.

ŻYCIE wasze, **POSAGI** dla dzieci, **UBEZPIECZAJCIE**

w jednym **POLSKIM**, opartem na wzajemności, T-wie Ubezpieczeń na tanich i dogodnych warunkach

Ubezpieczenia mogą być zawierane już od RL. 100 aż do 300 tysięcy. Składka miesięczna od 17 kopiejek. Z sumy przeznaczanej na dywidendę ubezpieczeni otrzymują 70%. Wszelkich informacji szczegółów udziela bezpłatnie Biuro Głównej Reprezentacji na Litwie Zmudz i Ruś: WILNO, Botaniczna 1.

Zarząd. Okręg. JÓZEF KOROLEC. Poszukiwani są ajenci.

„PRZEZORNOSC”

Medal złoty, Paryż 1905 r.
PRACOWNIA OBUWIA
GOTOWEGO i na OBSTALUNEK
męskiego, damskiego, dzieciennego i ortopedycznego

T. Krzyżanowski
WILNO, PREOBRAZEŃSKA № 8.



Na Święta **NALEŻY ZAOPATRYĆ SIĘ**
w klisze lub błony do zdjęć fotograficznych.

NAJŚWIEŻSZE MATERJAŁY

u **J. LACHOWICZA**

Wilno, Wielka 10, (w podwórzcu).



Kompletne

SERWISY

Stołowe

SREBRNE i PLATEROWANE
w najnowszych i najmodniejszych
fasonach poleca

MAGAZYN

JÓZEFA FRAGET

w WILNIE, UL. WIELKA № 58.

P. S. Magazyn w Wilnie otwarty został w tym celu, aby dać możność Szan. Klientom nabywania prawdziwych wyrobów fabryki „Fraget”, a nie podrabianych bezwartościowych, identycznie z wyglądu do prawdziwych podobnych, ponieważ w ostatnich czasach falsyfikaty te za wyroby mojej fabryki w wielu wypadkach są sprzedawane.

WANSTANIS

(ze zbioru „Wesołe i smutne powiastki“).

Świecone u księdza Michała.

— Skaranie boskie z takim gospodarstwem!
Skaranie boskie!...

Ksiądz Michał wchodził właśnie na ganek, dokąd przez uchylone do mieszkania drzwi dobiegał grzmiący głos Balbisi. Ale ksiądz Michał nie słyszał nic. W jednej ręce trzymał kapelusz, który ostrożnie złożył na ławce, rondem do góry, w drugiej notes, w którym pisać począł:

...Idzie promienna, młodociana
W jutrznianej szacie swej różowej,
Lodowe przysły wnet okowy,
Ziemie pokryła młoda ruń...

Podniósł głowę, zamyślił się. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się mogło, iż ma się przed sobą młodego ascetę, tak surową wydawała się ta szczupła, blada twarz i długie, wychudłe ciało. Ale oczy duże, błękitne, pełne głębi i dobroci, a zarazem jakiejś dziecinnej ufności, zaprzeczały, mówiąc — marzyciel.

...Zeszła promienna, młodociana...

W tej chwili stanęła na progu Balbisia, z czerwona, świecąca ze zmęczenia twarzą, z przekrzywionym na głowie ururkowanym czepkiem, z pod którego wyrywały się rzadkie kosmyki siwych włosów.

— Co jegomość zrobił z kielbasą?

Ksiądz Michał ocknął się.

— Z jaką kielbasą?

— Jeszcze się jegomość pyta? Panie Boże odpuść! Z biedą uciulałem te parę groszy, żeby choć ze dwa funty kielbasy było na święta, ułożyłam na półmisku, jak należy, obłożyłam jajkami, bukszpanem przystroiłam... Ja tera do śpiżarki — a tu z kielbasy ani dymu, ani popiołu! Myślę, kot huncfot, czy co? Ale jak? Okno zamknięte, drzwi zamknięte...

Ksiądz Michał zmieształ się i bąknął:

— Taki mały kawałek...

— A co? Nie mówiłam, że to jegomościna sprawa? Ot i jest nieszczęście. Nie darmom pajaka widziała świtem na przymurku. I zara mnie coś tknęło, jak te dziady przyszły; ale upinałam firanki, toć nie mogłam tak duchem ze stołu zeskoczyć. A potem to i przepomniałam. Ale jak się to jegomość gracko do śpiżarki przemknął!

— Biedni tacy, wygłodzeni... święta przecie...

— A jegomość to bogacz? A jegomość to, z przeproszeniem, wypasiony? Jak ten suchy wiór, Boże, odpuść, wygląda...

— Ja już taki od urodzenia...

— A może dla jegomości to świąt niema, jeno dla dziadów! A czemu to jegomość sutanny ze siebie nie ściągnął i dziadom nie dał? Przydałaby się, kapoty mieli podarte.

Proboszcz się uśmiechnął.

— Jedną mam tylko...

— A juści; a juści! I ta jużby dawno z jegomości zleciała, żebym jej nie cerowała po nocach. Świeci się za to, jak żydowski chałat w szabas.

— Jeszcze dobra, jeszcze z rok starczy...

Balbina klasnęła w ręce.

— No i widzicie, moi ludzie!...

— Cicho już Balbisiu... cicho. Trudno, stało się. Obędziemy się bez kielbasy.

— Kiedy my się bez wszystkiego obywamy, ciągle bez wszystkiego — mówiła prawie z płaczem.

— Ale zato jakich fijołków zbierałem! — przewrwał ksiądz Michał — patrz Balbisiu...

Podał jej kapelusz.

— Za olszyną na polance to aż niebiesko.

— U jegomości w głowie chyba niebiesko!... Przepraszam księdza dobrodzieja — pomiarkowała się — ale człek z żalości to już sam nie wie, co mówi! Od pędraka tyciego znam — chlpała, nos ucierając — a starszej pani nieboszczce, świeć Pannie nad jej duszą, na śmiertelnem łożu przysięgałam, że opiekować się będę, jak rodzonem dzieckiem. Ale jak się tu opiekować? Człek radby z duszy — serca jaknajlepiej. Cóż, kiedy jegomość sam, jak największy swój nieprzyjaciel, albo zgoła jak dziecko. Zielsko zbierać, książki, papierzyska ino kupować, kiedy ja stolnicy do kuchni doprosić się nie mogę, a chamom pocichu wszystko z domu wynosić — na to jegomość ma rozum. Ale żeby też pomyśleć kiedy o jakim takim porządku w domu — toć parachfija, dziękować Bogu, nie ostatnia. Ani to jegomość zje, jak należy, ani się ma w co ogarnąć...

Ksiądz Michał przeszedł do pokoju i na glinianym talerzu układać począł fijołki. Balbisia podreptała za nim, gderząc.

— Zielska u nas nie brak, niczem w oranżerji u hrabiego z Zagaja. Albo i tych książków...

Balbisia miała słuszość. Pokój, który służył księdzu Michałowi za bawialnię i sypialnię razem, wyglądał, jak maleńka cieplarnia. A wszystko sam wyhodował, począwszy od różnobarwnej gamy hyacenty, tulipanów, żółtych narcyzów, aż do soczystych begonji, młodych palm i paproci. Na oknach w słońcu suszyły się nasiona; inne, przepysane w papierowe tutki z napisami, ułożone były na osobnej półeczce. W rogu pokoju stała duża oszklona szafa pełna książek. Na wszystkich sprzętach poniewierały się dzienniki i różnokolorowe broszury, a na okładkach czytać można było: „Pomoc lekarska w nagłych wypadkach“, „Szczerzenie drzew owocowych“, „Ochronki w Szwajcarii“, „O chorobach zakaźnych wśród dzieci“, „Łaźnia wiejska“ etc.

— No i co teraz będzie? — spytała Balbisia.

— Co?

— Co będziemy jeść w święta?

— Przecież Balbisia ma tam jakiś placek...

— Juści że mam. Szczęście, że przykryła serwetką i jegomość go nie widział, bo jużby się nim były dziady podzieliły. Ale z jednym placekiem...

— Jest trochę jaj, a mleko przecież Dudzina przyniesie.

— Jak Bożę kocham, jegomość to jak dziecko! Ja się tam byle czem obęde; jegomość i tak niewiedomo, czem żyje... Ale czy jegomość zapomniał, że gości prosił na drugie święto?

— Jakich gości?

— Laboga! sąsiadów.

— Aaa... no tak... Omawiać mamy sprawę szkółki we wsi...

— Będzie im tam jegomość szkółką głowę zawracał. W święta każdy chce zjeść, wypić, w karty pograć, nie zaś...

— Kiedy w inne dni czasu nigdy nie mają.

— Ee... Jeszcze roku niema, jak na tej parafii siedzimy, a już jegomość ze swymi wymysłami. Żeby to choć ludziska poznali, że jegomość dla ich dobra, ale Boże odpuść!.. Sama to w zeszytym tygodniu słyszałam, kiedy to do dworu chodziłam po bieliznę kościelną z prania, jak pan Głabczyński z Piasków mówił do dziedzica, że ksiądz proboszcz to, z przeproszeniem, warjat, że to, niby, powiada, świat chce do góry nogami przewrócić.

Ksiądz Michał smutno się uśmiechnął.

— Zjadą się tera, tyła osób—co ja im dam. Mój Boże — lamentowała Balbisia — te pieniądze, com prawie po grosiku jegomości wykradała, ciułała, ciułała... Myślałam: kupię na świętą Jadwigę podswinka, tanie były, wykarmię, utuczę, galanty wieprzek będzie na Wielkanoc. Wyprawi się go, będą szynki, kiełbasy, głowizna, salcesony, choćby—choćby na pół roku. Aż tu masz biedę. Robakowie do szczętu zgorzeli. Jak jegomość począł prosić, molestować: „a daj, Balbisiu, moja pocziwa, kochana Balbisiu, bez chleba są, bez dachu, dzieciska płaczą“... Tak i dałam. Tera co? Pieniądzy niema; żeby choć drób był. Ale czy ja się to kurczą kiedy dochowam? Niech jeno chłop, abo baba we wsi zachoruje—dalej, jegomość własne kurzy z podwórka na rosoly dla nich wykrada. Dawniej, to nie wiedziałam, kto? Kot, jastrząb, czy gwron? Tera to już wiem. Ho, ho! Jegomość jeno kurze dziób ściśnie. żeby jazgotu nie narobiła i w dyrdy na wieś, że się za jegomością kurzy. Dużo się chamy na rosole znają... Ale mądre bestje: zawsze coś od proboszcza wycygnają. Abo i w kościele... Bo to jest jaki porządek? Świętemu Antoniemu na chorągwi mole do cna sukienkę ścięły, aniołek z feretronu bez nosa...

— Mówiłem już z ambony o tej chorągwi, obiecali składkę zrobić na nową.

— Czekaj tatka latka, nie sporo im jakoś, choć rychło już procesje się zaczyna. Ale cóż... jegomość sam ino wszystko w ludzi pcha: tu bieda, tam bieda, ówdzie sieroty... Gdyby jegomość mógł, toby się uwędzić kazał na salceson, żeby go zjedli.

Ksiądz Michał roześmiał się, tak go porównanie z uwędzonym salcesonem zabawiło.

Balbisia pokiwała głową.

— Oj, nie pożywiliby się ta wiele, nie!.. Tyle na jegomości sadła, co i na ususzonym komarze... Aż żal patrzeć.

W tej chwili wpadł do pokoju Jasiek organisty, pucnął proboszcza w rękę i zaczął zdyszczonym głosem:

— A to, proszę jegomości, siła się narodu pod kościołem zebrała; czekają na święcenie. Ponoć są już wszyscy...

— Leć po ojca, niech mi komżę przygotuje i wodę święconą.

— Już wszystko gotowe, tatuś czeka.

Proboszcz szybko, wielkimi krokami, poszedł z plebanji do zakrystji, wdział komżę i wyszedł na cmentarz kościelny. Za nim podązał wąsaty organista z miedzianem naczyniem do wody święconej i z kropidłem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków!—zabrzmiało dokoła.

Na cmentarzu ludu już była moc, nabita, jak na Podniesienie. W pośrodku jeno zostawili wążką ścieżynkę dla księdza. Pstrokacizna barw uderzyła w oczy księdza Michała oślepiającą jaskrawością. Pasiaste zapaski i wełniaki, kwieciste chusty, krasne fartuchy, białe koszule, błyszczące sznury koralu i paciorków, a wśród tego, gdzieniegdzie, granatowa kapota, sadłem wysmarowana głowa chłopca, odcina płową lub ciemną plamą.

Na ziemi kobiałka przy kobiałce, pełna poskręcanych wianków kiełbasy, świeżo wyciśniętych serów, osełek masła, placków posypanych cukrem, lub pokrytych zrumienionym twarogiem, wypełniona białą jaj lub mozaiką pisanek, na których deseń i kolory wysiliła się prosta, szczerą fantazją ludu. Gdzieniegdzie butelka wyciąga szyję, baranek z krochmalu zakolysze czerwoną chorągiewką, zazieleni się babka z rzerzuchy, a nad wszystkim chwieją się lśniące gałązki borowinowe.

Dzień był prawie gorący, pod koniec kwietnia; słońce stało w samym południu, wysoko, kąpiąc w świetlanej powodzi białe ściany kościołka, lud zgromadzony, suchą postać księdza w białej komży i siejąc deszcz promieni przez bladozieloną koronkę młodych pędów, okalających cmentarz, topól. Na obmurowaniu cmentarnem siedziały okrakiem dzieci o lnianych głowach, z wytrzeszczonymi z ciekawości ślepiami.

— *In nomine Patri et Filii...*

Ksiądz szeptał cicho modlitwy, zatrzymywał się, kropił, błogosławił. Na topolach rozświegotało się ptactwo, dzieciaki szczebiotały na murze.

Skończyła się ceremonia święcenia.

Proboszcz w powrocie ku drzwiom zakrystji zatrzymał się.

— Bądźcie zdrowi, moi kochani; wesółych świąt wam życzę, wesolego Alleluja. A przystojnie tam, z piciem i z jedzeniem ostrożnie. Po poście o chorobę łatwo; gdyby tam komu co było, to zaraz do mnie na plebanję; dam lekarstwo. A na rezurekcję rano o szóstej, pamiętajcie.

Jakaś kobieta wysunęła się z gromady, pochyliła się proboszczowi do kolan.

— Robakowa? a co tam?

— Już też dobrodziej nasz kochany nie pogardzi... Niewiele ta mogłam, ale co mogłam przynieść—bąkała, kładąc zawiniątko na ziemi u nóg proboszcza.

Ksiądz Michał ujrzał się nagle otoczonym gromadą bab, dziewcząt, mężczyzn. Każdy kładł coś na ziemi u jego nóg i wszyscy razem gadali:

— Już to jegomość nie pogardzą...

— Niewiela, ale czem chata bogata...

— Jużeswa się tak zmówili wszyscy, co naszemu dobrodziejowi święcone przyniesiem.

— Opiekon nasz...

— Dobrodziej...

— Kaj bieda, kaj choroba — zawdy go nańdzie...

— Swoje chudziocek wszycko ludziom odaje...

Ksiądz Michał trzepnął rękami.

— Zmiłujcie się ludzie, co robicie?

— A niech ta już dobrodziej przyjmą, ze szczyrego serca ochwiarujem.

— I odemnie.

— I od nas, i od nas!

Jakaś mała dziewczyna podała malutkie zawiniątko w mokrym gałganku.

— A ja dobrodziejowi zrobiłam sama baranka z masła.

Zawstydzona objęła proboszcza za nogi i uciekła.

Ksiądz Michał stał wzruszony.

— Bóg wam zapłać, moi kochani. Bóg wam zapłać... Sam nie wiem, jak wam dziękować za dobre serca... Bóg zapłać... Ale czemuście się tak szkodowali dla mnie...

Zaprotestowali jednogłośnie.

— Laboga! co tam za szkoda! Każdy po ździebełku, to się i złożyło. A jegomość nie szkodzi się dla nas? Ostatnią koszulę by z siebie ściągnął dla biednego.

— Bóg zapłać...

Ludzie zwolna się rozchodzili, po chwili cmentarz opustoszał. Jakiś chłop w barankowej czapce z batem w ręku zbliżył się do proboszcza, pochylając do kolan.

— Ano—zaczął—bo ja czekam na dobrodziejca... Mieli jegomość niby konie najmac do objazdu ze święceniem po okolicy, aleśwa się tak już wszyscy parachfijanie zmówili, że ode wsi do wsi będzie dobrodziejca inny gospodarz odwoził, ocipkę drogi to i żaden nie poczuje. Ano właśnie czekam z półkoszkiem u bramy.

— Dziękuję wam, dziękuję... pocziwe z was ludzie... Czekajcie, za pięć minut będę. Jasiak!

Chłopak organisty stał z otwartą gębą.

— Wołaj mi pannę Balbinę.

Po chwili przydreptała Balbina; spojrzała na stos zawiniątek i klasnęła w ręce.

— Święci Pańscy! a to skąd?

— Martwiłaś się, Balbisiu, o święcone, no i patrz, co tu tego. Dobrzy ludzie naznosili. Jasiak! jedźmy z ojcem, płaszcz i kapelus, przędziej!

Wkrótce bryka turkotała już za bramą.

— Jasiak! a biegaj że mi duchem po koszyk! Trza to wszystko znieść do spiżarki—wołała rozradowana Balbisia.

Podnosiła kolejno zawiniątka, oglądając.

— Laboga! laboga! co tu tego! A ja myślałam, że chudziak już tak o głodzie święta przebuduje. Jasiak, a rusz że się! Sama kosza nie dźwignę!

.....

O zachodzie wracał ksiądz Michał z twarzą rozjaśnioną, trzęsącym chłopskim półkoszykiem. Cicho było... Ze świeżo zoranych skib dobywała się orzeźwiająca woń poruszonej ziemi, od łąk szedł wilgotny zapach młodziutkich traw i liści, lepkich pędów, czasem przepłynęła fala przepojonego wonią fijołków powietrza. Od wsi pełżyły dymy pełne żywicznej woni, rozwłócząc się po polach. Z okienek kilku chat bił blask palącego się na kominie ognia, inne zachodząca luna słoneczna barwiła złotem i szkarłatem. A chaty świeżo bielone z gałązkami jedliny powtykanemi w okap strzechy, zdaleka różowiły się w tych blaskach. Ze wsi płynęły coraz wyraźniejsze głosy, nawoływania, poryki bydła, skrzyp zórawi u studzien, śmiech baraszkujących na drodze dzieci.

Ksiądz Michał zapatrzył się, zasłuchał w tę mowę ziemi, chłonał pełną piersią wonie i dymy i z szeroko otwartymi dziecinnymi oczyma, powtarzał własne strofy:

...Stworzyłeś świat tak piękny Boże,
tak pełny woni kras i róż,
promienne zapaliłeś zorze
wśród ludzkich serc i ludzkich dusz...
Tak piękny świat stworzyłeś Boże,
aż w piersi cichy rośnie żal,
że już niedługo przyjdzie może
w nieznaną, smutną odejść dal...

Bryka zaturkotała przed gankiem. Na progu stanęła rozpromieniona Balbisia:

— Wie jegomość? Ze dworu przysłali sześć butelek miodu, szynkę i ogromną babę. No, już teraz sam hrabia z Zagaja może do nas przyjechać!

— A to Balbisia zgadła—roześmiał się ksiądz Michał—bo przyjedzie i daje trzysta rubli na ochronę.

— Święci pańscy! cud, cud! Laboga, prosiak mi się na nic spali! Czy herbatę jegomości na ganku podać?

— Na ganku.

Ksiądz Michał usiadł na ławce i patrzył na miedzianej barwy kulę słońca, zapadającą zwolna za szafirowy pas lasu.

— Promienne rozpalileś zorze, wśród ludzkich serc i ludzkich dusz... szeptało jego dziecięce, ufne, beztroskie serce.

A Balbisia zmęczona, rozradowana, układając się do snu późnym wieczorem, myślała:

— Czy to nieboszczka pani ulitowała się nad chudziakiem i uprosiła Najświętszej Panienci?..

Zadumała się.

— Kto wie? kto wie? Jegomość ostatnie, co miał, dziadom oddał... A może to wcale nie były dziady, jeno jacy święci... a może i sam Pan Jezus ze świętym Piotrem?

Pomyślała—ale nie powiedziała tego księdzu Michałowi.

KONIEC.

DEOTYMA (Jadwiga Łuszczewska).

Panienka z okienka.

Starodawny romansik.

Pod sklepieniami wisiały rogi jelenia i różne obrazy, którym jednak trudno było się przypatrzyć, bo choć owo złoto-kraciaste okno wpuszczało tam sporo światła, jednak sień była tak głęboka, że już od połowy tonęła w półcieniu.

Na samej głębi, przez inne drzwi wpółotwar-te, oczy mogły rozróżnić równie długą i głęboką kuchnię, zakończoną dwoma oknami, wychodzącymi na mroczny dziedzińczyk.

Drzwi te zajmowały jeden z kątów sieni. W drugim kącie, wokoło grubego słupa, kręciły się ślimakiem schody, obwite przejrzystą, z orzechowego drzewa toczoną poręczą, której tralki były powyginane w najśliczniejsze palmy i chimery.

Tam niewiasta wskazała, mówiąc:

— Na pierwszym treppie.

I znikła w głębiach kuchni.

Wszedłszy na kilka stopni. Kaźmierz wydał przytłumiony wykrzyk; o dwa zakręty wyżej, przechylona przez poręcz, zwieszała się ku niemu koronkowa stokrotka i wyglądająca z niej ciekawie złota główka. Puścił się szybko, ażeby ją dogonić, ale ona jeszcze szybciej mknęła, i tylko jej błękitna suknia, przerabiana w białe floresy, migała za orzechowymi floresami kraty, wydając takie sztywne chrzęsty, jakgdyby drzewo tam szumiało.

Kiedy nakoniec wybiegł na korytarz, przeciwnający pierwsze piętro, już ona śmignęła poza męczące przezrocza innych schodów, co nowym ślimakiem wywijały się w górę. Wielką miał ochotę i tam za nią popędzić, ale w tej chwili odemknęły się jedne ze drzwi korytarzowych, i ukazała się w nich posępna głowa młodego człowieka, który spytał:

— Kto tutaj chodzi?

— To ja. Wedle bursztynów.

— A! To tam, Wasza Dostojność, naprzeciwko.

Więc Kaźmierz skierował się do drzwi z naprzeciwka, i do jakich drzwi! Gdyby nie półciemność, panująca w korytarzu, gdyby zwłaszcza nie gwałtowność, z jaką wszystko zwykł czynić, byłby mógłby zgubić oczy w tej wikłaninie wstęg, powojów i skrzydlatych genjuszów, co się tam roily na tle z jasnego dębu. Ale za otworzeniem, piękność drzwi gasła jeszcze przy piękności komnaty, zatrzęsionej także dębową snycerszczyzną. Z misternych, czworobocznych przegródek sufitu wyglądały rzeźbione głowy (ozdoba ulubiona budowniczym polskim). Przy ścianach ciągnęły się sławne szafy gdańskie, o kulistych nogach, o wrotach bajecznie dłutowanych, o szeroko przysiadłych dachach. Zastawiona takimi gmachami komnata wydawała się mocno ciemną, tembardziej że była wązka w stosunku do swojej wielkiej głębokości. Na samym jej końcu dopiero świeciły dwa okna, pod któremi ciągnął się stół ogromny, zarzucony mnóstwem świderków, pilników, baniek i miseczek.

Przy stole, w dużym poręczowem krześle siedział mistrz Johann Schultz. Miał na sobie kurtę z kasztanowatego felendyszu, o małym karbowanym kołnierzu i bufiastych rękawach, szare plu-dry, zielone pończochy i trzewiki z pęczkami wstążek. Na długawych, szpakowatych włosach nosił mały czarny birecik, bo wtedy i w domu nakrywano głowę.

Siedział pochylony do światła i pulchnemi rękami urabiał maleńkiego Amorka z bursztynu. A nie tylko ręce, ale i twarz miał pulchną, i cała jego osoba jaśniała okazałą tuszą, tak że Kaźmierz pomyślał sobie:

— Jeśli ci tamten Grubasek, to ten cały grubas.

Podczas gdy Kaźmierz czynił w duchu takie uwagi, mistrz Johann oddawał pięknem za nadobne. Spostrzegłszy świetny wygląd wojskowego, pomyślał sobie:

— Oho! Może jakowy utracjusz? Będzie zeń dojny kundman.

Przyczem, wstawszy powolutku, skłonił się z powagą i patrzył na gościa w postawie oczekującej, bo wielcy kupcy owych czasów byli uprzejmi, ale małowolni i nie narzucający się z towarem. Wszelką sztukę „reklamy“, wszelkie przechwałki z bębnami, pozostawiali krzykaczom jarmarczonym, a sami twierdzili, że czego kto naprawdę potrzebuje, to sobie zawsze znajdzie. Nie wiedzieli, prostoduszni! że można ludzi kusić i na to, czego im nie trzeba.

To też i w ich składach nic nie stało na pokaz, nic się nie uśmiechało z poza szyb kryształowych. I tutaj oto któż byłby mógł odgadnąć, co ta surowa komnata ukrywa w swoich szczelnie pozamykanych tajnikach?

Kaźmierz pierwszy zaczął:

— Jutro wyjeżdżam, chcę zawieźć doma gościnię, z tej racji przyszedłem do Waści, panie kupiec.

— Toś Wasza Mość richtig trafił. U nas grajuje przysłowie:

Zawiózł panek do Gdańska pół-szkućek pszenicy,

Za to przywiózł bernsztejnu aż pół rękawicy.

— A! Paradnieś to Waść przycytował — rzekł gość któremu bardzo się podobała krotocwilność gospodarza. — Obaczmyż, co ja mam nasypować do onej rękawicy, chociażby do jednego palca w gan-telecie?

Kupiec tedy zaczął jedną po drugiej otwierać owe zaczarowane szafy. Tam, na głębokich policach, stały rzędami bursztynowe posążki, czarki, kropielniczki, solniczki, ampułki. Były i przedmioty niby innego porządku, jako to: srebrne pu-hary i talerze, kryształowe szklenice i nalewki, ale wszystko nasadzane maskaronami albo figurkami z bursztynu; były i krucyfiksy hebanowe ze słonecznym Panem Jezusem, i świątyńki z kości słoniowej, gdzie bawiły się różne żółciuchne osóbkki.

Potem kupiec wyciągnął płaskie szuflady, gdzie leżały rzeczy drobniejsze, ale niemniej kosztowne, bo z najbielszego bursztynu wycinane i złotemi oprawami niewidzialnie podszyte.

(c. d. n.)